



**Magiczny
Kraków**

Od dawna śniłem o medalu mistrzostw świata

2026-10-28

- Pewna bardzo mądra osoba zasugerowała mi, żebym się poczuł jak bohater filmowy, który traci wszystko, ale walczy do końca, bo został mu cień nadziei. I przed startem w Oklahomie ja sobie takiego bohatera w głowie wykreowałem - opowiada nam Michał Pasiut z AZS AKF Kraków, wicemistrz świata w kajakarstwie slalomowym.

W 2008 r. zdobył Pan srebrny medal mistrzostw świata juniorów, dziesięć lat później było drugie miejsce w mistrzostwach Europy w konkurencji drużynowej wraz z Mateuszem Polaczykiem i Dariuszem Popielą, podobnie jak w 2023 r. w Krakowie na III Igrzyskach Europejskich. I w końcu w tym roku tytuł wicemistrza świata w konkurencji K-1. Polubił Pan srebro?

Na to wygląda, bo w tym sezonie było jeszcze sreberko w pierwszych zawodach Pucharu Świata w Tacenie oraz w mistrzostwach Polski. Srebro z mistrzostw świata w Oklahomie jest jednak moim największym indywidualnym osiągnięciem w karierze, więc dla mnie jest jak złoto.

Bardzo długo czekał Pan na tak wielki sukces. Na podium przewinęła się Panu przed oczami cała kariera?

Dokładnie tak. Nieraz się słyszy, jak zawodnicy, którzy zdobywają medale, mówią o takim zjawisku. To mniej więcej tak wygląda, jakby wejść do galerii zdjęć w telefonie i przewijać je klatka po klatce. Już od samego momentu zdobycia medalu, jeszcze zanim wszedłem na podium, miałem bardzo dużo myśli o tym, co się ostatnio wydarzyło, kiedy wznawiałem trening po dłuższej przerwie - kto mi pomógł i jakie decyzje podejmowałem, gdy czasami było tak ciężko, że nawet łzy się pojawiały, bo ciało nie chciało współpracować. Dlatego bardzo mi zależało, by zapamiętać każdy moment po wywalczeniu medalu, gdy ludzie, którzy znają moją historię, podchodzą, gratulują i mówią, że super, że to właśnie ja stanąłem na podium. Niesamowicie było to wszystko przeżyć.

Czy to prawda, że gdy w nocy po zawodach się Pan obudził, to wziął Pan do ręki telefon, by sprawdzić, czy to aby nie sen?

Tak było, bo wielokrotnie miałem taki sen, że zdobywam medal na zawodach i stoję na podium. A potem się budziłem i mówiłem sobie: „Kurczę, to jednak był tylko sen”. Dlatego, gdy się obudziłem w Oklahomie o czwartej nad ranem, chciałem się upewnić, czy to się naprawdę wydarzyło. Wziąłem do ręki telefon i zobaczyłem SMS-a od Zbigniewa Bobrowskiego, mojego pierwszego trenera z Nowego Sącza. To był piękny zbieg okoliczności, bo tej nocy, kiedy ja już spałem, on wstał rano w Polsce i napisał do mnie wiadomość: „Mam nadzieję, że to nie sen!”. Ten SMS uświadomił mi, że to się jednak naprawdę wydarzyło, więc mu odpisałem: „Trenerze, to nie sen, to rzeczywistość!”. Podziękowałem mu, bo w dużej mierze właśnie jemu zawdzięczam ten sukces.

Zaczynał Pan karierę w Starcie Nowy Sącz, a ostatnie lata to występy w barwach AZS AKF Kraków.



**Magiczny
Kraków**

W krakowskim klubie współpracuję z trenerem Januszem Żyłką-Żebrackim, dlatego ten medal to też jego ogromna zasługa. Wiosną trener Janusz bardzo mi pomógł w przygotowaniach do sezonu, podobnie jak inne osoby z klubu, bo trzeba było wiele rzeczy zorganizować. Otrzymałem bardzo duże wsparcie również od trenera przygotowania motorycznego Sławka „Syberii” Lewalskiego oraz fizjologa Tomasza Cisonia. Ze Sławkiem współpracujemy od listopada ubiegłego roku. Spędziliśmy długie godziny na rozmowach, dostosowując trening do moich możliwości. To on swoimi radami wyciągnął mnie z takiego, można powiedzieć, głębokiego dołu, bo tak się wtedy czułem. Dzięki niemu mogłem przejść z treningu rehabilitacyjnego do wyczynowego i osiągnąć życiowy wynik. Jestem mu za to bardzo wdzięczny. Z kolei Tomek Cisoń jest fizjologiem wysokiej klasy, z którym współpracowałem przed wyjazdem do USA, aby przygotować organizm do startu w bardzo wysokich temperaturach. W Oklahomie był upał przekraczający nawet 40 stopni Celsjusza, mieszkańcy mówili nam, że to się wcześniej tam nie zdarzało.

Ten trudny powrót do startów wynikał z poważnych problemów zdrowotnych?

Tak, mam dosyć bogatą historię, jeśli chodzi o odcinek lędźwiowy kręgosłupa. Największą „przygodę” miałem w 2023 r., kiedy praktycznie przez miesiąc nie byłem w stanie chodzić. Podczas zawodów kwalifikacyjnych do kadry startowałem na środkach przeciwbólowych, przed zejściem na wodę szedłem wziąć zastrzyk do ambulansu parkującego przy torze. W listopadzie ubiegłego roku silny ból powrócił i nie mogłem wejść na poważne obciążenia treningowe. Musiałem skupić się na rehabilitacji. Spędziłem mnóstwo czasu w piwnicy.

W piwnicy? Ma Pan w niej urządzoną siłownię?

Mam to szczęście, że moja dziewczyna, znakomita kajakarka, z którą mieszkam pod Wiedniem, urządziła ze swoim ojcem to miejsce i możemy tam wspólnie trenować. W siłowni są różne innowacje – ergometr kajakowy, rower oraz wiele innych urządzeń. Przechodziłem z jednego na drugie, łącząc treningi, które nazwałem sobie „triathlonem”, żeby przygotować się na późniejsze wysiłki na wodzie. W tej siłowni wylałem mnóstwo potu i hartowałem duszę, bo kiedy wszystko boli, mózg nie chce podjąć wyzwania. Miałem dużo przemyśleń, co i jak zrobić, żeby sobie pomóc i krok po kroku przełamywać opór.

Pana partnerka to utytułowana kajakarka Viktoria Wolffhardt, dwukrotna olimpijka, mistrzyni Europy, medalistka Pucharów Świata?

Tak. Jej tata jest Słoweńcem, a mama Austriaczką. Tak jak my, oni też się poznali na kajakach, więc można powiedzieć, że kontynuujemy rodzinną historię – ten sport łączy kolejne pokolenia.

Zamieszka Pan w Austrii na stałe?

Do tego to zmierza, choć na razie jestem przez cały rok w rozjazdach i do domu wracam tylko na chwilę, żeby odpocząć. Śmieję się, że na co dzień żyję w samochodzie i w busach, za to dom jest dla mnie przyjemną oazą spokoju. Po powrocie z Oklahomy spotkałem się z Viktorią najpierw w Bratysławie, gdzie właśnie wznawiała starty po urodzeniu w ubiegłym roku naszej córki. Przejąłem tam rodzicielskie obowiązki, żeby ona mogła się skupić na zawodach. Ja wówczas byłem jeszcze w takiej, można powiedzieć, pauzie mentalnej po zdobyciu medalu. Musiałem odczekać, aż emocje trochę opadną, żeby na nowo zająć się treningiem.



**Magiczny
Kraków**

Nie uchyla się Pan od ojcowskich obowiązków, bo z tego, co wiem, to Pana urlop tacierzyński zaraz po narodzinach córeczki trwał pół roku.

To prawda, choć przyznaję, że był on troszkę wymuszony, bo w tamtym roku kwalifikacje nie poszły po mojej myśli i nie było mi dane startować w późniejszej fazie sezonu. Niemniej bardzo się cieszę, że mogłem być w tych momentach z rodziną, bo okazało się, że choć człowiek jest już dojrzały, to jednak uczy się całe życie. Kariera kiedyś się skończy, a rodzina zostanie i warto pielęgnować wspólne życie. Wiele osób mówiło, że opatrność dała mi te kilka miesięcy pauzy, żebym mógł przeżyć w pełni to duchowe wydarzenie, jakim są narodziny dziecka, i że wrócę do sportu ze zdwojoną siłą, energią i motywacją, a następne lata będą piękne. I teraz myślę sobie, że miały stuprocentową rację, bo dokładnie tak było.

Widziałem na Instagramie zdjęcia Viktorii z córką w kajaku. Rośnie następczyni?

Nasza córeczka jest bardzo energiczna i szybko się nudzi różnymi aktywnościami, jakie jej proponujemy. Dlatego, jeżeli jedno z nas idzie na wiosłowanie, to w drodze na plac zabaw, zamiast spacerować w wózku, sadzamy ją na kilka minut w kajaku i płyniemy w górę rzeki. Ona bardzo lubi wodę, chętnie się pochłapie. Wygląda na to, że odziedziczyła upodobania po rodzicach kajakarzach i ciągnie ją w tym kierunku. Zobaczymy, co będzie dalej.

Zanim zdobył Pan tytuł wicemistrza świata, był Pan w Oklahomie o krok od złota w drużynie z Mateuszem Polaczykiem i Dariuszem Popielą. Czuł Pan sportową złość, że sędziowie ukarali was karnymi punktami za dotknięcie bramki, którego nie zarejestrowały kamery?

I to ogromną. Mieliśmy mistrzowski przejazd, tymczasem sędziowie dopisali nam dwa razy po dwie sekundy, co zepchnęło nas na czwarte miejsce. Rozmawialiśmy ze sobą i żaden z nas nie poczuwał się do winy. Ta kara wywołała u mnie złość, ale przed startem indywidualnym potrafiłem sobie z tym poradzić i wykorzystać ją na swoją korzyść. Pewna bardzo mądra osoba zasugerowała mi, żebym się poczuł jak bohater filmowy, który traci wszystko, ale walczy do końca, bo został mu cień nadziei. I ja sobie takiego bohatera w głowie wykreowałem, starając się grać swoją frustracją. Oczywiście trzeba uważać, żeby w trakcie zawodów nie dać się ponieść gniewowi, dzieliła mnie od tego cienka granica. Dlatego tym bardziej się cieszę, że potrafiłem zarządzać tą sytuacją, bardzo rozsądnie popłynąć i uzyskać dobry wynik.

Wrześniowe mistrzostwa Europy we włoskiej Ivrei nie były już tak udane, zakończył je Pan na półfinale.

Wypadłem z linii i to bardzo. Musiałem się ratować, pochylając się na wejściu do bramki. Na dodatek jeszcze tę bramkę trąciłem. Z takimi błędami po prostu nie pływa się finałów. Niedosyt jest ogromny, bo wiem, że mogłem walczyć o medal.

Igrzyska w 2028 r. odbędą się na tym samym torze, na którym zdobył Pan medal mistrzostw świata. To dobrze rokuje?

Nie byłem w Oklahomie na pierwszych tegorocznych zawodach, gdy startowała cała nasza kadra, więc



**Magiczny
Kraków**

później sporo wypytywałem innych zawodników o ten tor. Wszyscy mówili, że jest słaby, nieprzygotowany, bardzo wymagający, a ja sobie zakodowałem w głowie, że w takim razie jest pode mnie, bo takie właśnie lubię. I od początku zawodów bardzo dobrze się na nim czułem.

Z tego, co słyszałem, początkowo miał Pan jednak problemy ze zdrowiem.

To prawda, w trakcie aklimatyzacji w USA, na tydzień przed startem, dopadła mnie ogromna słabość, miałem objawy jak przy grypie żołądkowej. Przez trzy dni leżałem jak kłoda, z trudem wstawałem, zrobiłem się bardzo lekki, straciłem całą energię. Zacząłem się obawiać o swoją dyspozycję, ale wytłumaczyłem sobie, że skoro pięściarze tuż przed walką zrzucają po kilka kilogramów, tracą siły, a potem i tak dają sobie radę w ringu, to i ja też dam radę. I tak się rzeczywiście stało. W dniu startu wstałem w pełni wyspany, czułem się mocny, bardzo spokojny. Przed zejściem na wodę odciąłem się od emocji, jakie panowały w kadrze. W naszej grupie było dużo rozmów, analizowania występów innych zawodników, więc poszedłem na siłownię, położyłem się z boku na macie, zablokowałem w telefonie wszystkie kontakty poza jednym, z Viktorią, by nic mnie nie rozpraszało, i obejrzałem sobie stand-up. I wyszło świetnie.

Co trzeba zrobić, by pojechać za dwa lata na igrzyska do Los Angeles?

Kwalifikacje olimpijskie są bardzo długie. Zaczęły się na mistrzostwach świata, a teraz trzeba mozolnie zbierać punkty w kolejnych zawodach, by zdobyć nominację dla kraju w swojej konkurencji. Potem będą jeszcze kwalifikacje wewnętrzne, by zapracować na nominację imienną, choć na razie żaden z nas nie ma pojęcia, jak one będą wyglądać; pewnie reguły zostaną ustalone dopiero w przyszłym roku. Staram się tym zbytnio nie ekscytować, tylko zająć się tym, co mam w rękach, czyli wiosłem i kajakiem, aby sprawić, żeby praca, jaką wykonuję, była na najwyższym poziomie.

Rozmawiał Krzysztof Kawa